



ŁADUNEK

Karol Templewicz

IRONICZNY PORTRET POKOLENIA, KTÓRE PRAGNIENIE STABILIZACJI MUSI SKONFRONTOWAĆ Z ABSURDALNĄ RZECZYWISTOŚCIĄ.

Wszyscy marzymy o spokoju – mniejszej lub większej strefie komfortu. Mamy ambicje i marzenia, chcemy realizować się w pracy i w domu. Taki też jest Kuba. Wypluty po dziesięciu latach z instytucji publicznej, chce wykorzystać swoje umiejętności na rynku. Mała firma będąca nadzieją nowoczesnej polskiej gospodarki okazuje się jednak kolejnym zlepkim chaosu i niekompetencji.

Rodzina to skomplikowany projekt, z którego trudno mu się wypisać. W związku z tym słucha, jak babcia leczy własne kompleksy, wygłaszając teorie o pokrewieństwie ze sławnymi ludźmi i rzekomym bogactwie. To zabawne, ale i męczące. Narastająca w Kubie frustracja znajduje swoje ujście, gdy w jego ręce trafiają tajemnicze instrukcje...

ŁADUNEK

Karol Templewicz



Redaktor prowadzący: Wojciech Nowakowski
Redakcja: Magdalena Olejnik
Korekta: Magdalena Chrobok
Projekt okładki: Julia Filip
Skład i łamanie: Maciej Torz

Copyright © by Karol Templewicz 2025

Copyright © by Sorus® 2025

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-68095-84-5 książka

ISBN 978-83-68095-85-2 e-book

Wydanie I, Poznań 2025

Printed in Poland

Twoja opinia jest dla nas ważna! Zachęcamy do podzielenia się wrażeniami
po lekturze tej książki i dodania swojej oceny: www.sorus.pl/opinia

Masz pomysł na książkę lub gotowy tekst? Opublikuj swoje dzieło ze wsparciem
wydawnictwa i dołącz do grona naszych autorów: www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

DM Sorus sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

e-mail: sorus@sorus.pl

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl/sklep



www.sorus.pl



[dmsorus](https://www.facebook.com/dmsorus)



[wydawnictwosorus](https://www.instagram.com/wydawnictwosorus)

ROZDZIAŁ 1

Obiad na Starówce

– Musimy znać nasz hymn narodowy, bo kacap za miedzą stoi.

Słowa babci doleciały mnie, kiedy siedzieliśmy przy stole w mieszkaniu mamy na warszawskiej Starówce. Starałem się z powrotem skupić na jedzeniu zupy, ale mój sześciolatek syn, do którego z pominięciem dwóch pokoleń została skierowana ta wypowiedź, zrozumiał najwyraźniej, że właściwą reakcją będzie odśpiewanie hymnu. Usiłując się nie udławić, słuchałem mruczanda – „póki my żyjemy”, „szablą odbierzemy”. Kątem oka zobaczyłem, że żona stara się zdążyć z nagraniem tego międzypokoleniowego szaleństwa, które już od dłuższej chwili odbywało się na fotelu za moimi plecami. W odpowiedzi na moje pytające spojrzenie pokręciła głową. Moment minął.

Byłem zaskoczony, że dzieci potraktowały babcię Hanię w tak naturalny, przyjazny sposób. Wcześniej moja trzyletnia córka bez żadnych oporów dała się wziąć na kolana i zdawała się interesować tym, co prababcia stara się jej opowiedzieć. Zastanawiałem się, kiedy i czy w ogóle ja sam traktowałem tak babcię? Musiało tak być. Skądś przecież się wzięły te jej wspomnienia wspólnych wyjazdów: jakieś kuszetki do Zakopanego czy letniego wypadu na wieś. Dla mnie te sceny istnieją

wyłącznie dzięki jej przekazowi. Nie pamiętam ich i równie dobrze mogły się przydarzyć komu innemu.

Pamiętam za to dobrze użądlenie pszczoły. Żebyśmy się dobrze zrozumieli: doskonale pamiętam samo *wydarzenie*. Natomiast jestem prawie pewien, że dekoracje są mniej więcej tak prawdziwe, jak *Słoneczniki* Van Gogha, które wiszą w kawalerce twojej ciotki na dwunastym piętrze gierkowskiego bloku. Setki seriali, dziesiątki przeczytanych literackich opisów – moje prawdziwe wspomnienia są bez szans. Jestem pewien, że naprawdę było gorąco i siedzieliśmy przed domem. Babcia, musiała być wtedy (Jezu!) ledwo z piętnaście lat starsza niż ja teraz. Obierała dojrzałe, soczyste jabłko. Było pyszne. Sięgnąłem do miski po kolejny kawałek. Krzyknąłem, cofając gwałtownie rękę. A babcia z całej siły przypierdoliła mi szmatą. W latach dziewięćdziesiątych to uchodziło za wakacje *all inclusive*.

– Henio, ty lubisz grać w piłkę, tak? – dopytywała się teraz. – A wiesz, że moja babcia, twoja prapraprababcia Władzia miała trzy siostry? Babcia Władzia, tak się nazywała. I miała trzy siostry. Jedna z nich wyszła za wujka Lewandowskiego. To znaczy dla niej to był mąż, a dla mojej mamy, a twojej praprababci, wujek. Wujek Lewandowski pracował w pierwszej w Warszawie gazowni. Ten dom na Chłodnej, co jest naprzeciwko tego budynku, to był ich. I oni w czasie wojny się przenieśli tam, gdzie mieszkał kiedyś wujek Zbyszek. Za miasto. Tych dalszych pokoleń wujka Lewandowskiego to ja już nie znałam. Ale teraz tyle mówią o tym Robercie, a on przecież jest spod Warszawy. To nasza rodzina, widzisz.

Tę historię już znałem. Babcia zadzwoniła do mnie kiedyś w tej sprawie. Akurat wracałem z rozprawy w sądzie w Pabiani-

cach. Jechałem ze swoim prawnikiem i przyjaciółką. System głośnomówiący w aucie działał bez zarzutu. Bałem się, że będę musiał reanimować pasażerów, tak mocno krztusili się ze śmiechu.

Henio chyba nie do końca zrozumiał ten stopień pokrewieństwa. W każdym razie raczej nie zrobiło to na nim wrażenia. Zajął się czym innym, a babcia przesiadła się do stołu.

Patrzyłem na nią i myślałem o tym, jakie to smutne, że zostanie wredną starą babą do końca życia. Już nic tego nie zmieni. Na moje szczęście wszystkie pretensje skupiała na swojej córce, a ja – jej wnusio – sprawiałem jej ze swoją rodziną radość. Dzięki temu od jakiegoś czasu przebywanie z nią stało się dla mnie znośne. Chyba też zaimponowało jej, że moja poprzednia praca polegała częściowo na podróżach do Azji. Dalekie loty przez długie lata stanowiły rzadkie dobro, więc na wielu osobach robi to wrażenie.

Przez większość życia nienawidziłem się z nią spotykać. W sumie do mnie czy do mojego brata nigdy się specjalnie nie przypieprzała, jednak długie seanse, podczas których przekonywała nas, a pewnie i siebie, o własnej zajebistości, były nieznośne. Zanim pogorszyło jej się z biodrami, dobrze gotowała. Niestety słuchanie godzinami, jakie wszystko jest „dobre”, „pyszne”, „najlepsze”, odbierało mi apetyt. Powiecie, że każda babcia tak ma. Otóż nie. Moja druga babcia tak nie ma. Zresztą to część większego problemu. Dzięki babci bardzo wcześnie zrozumiałem, że jeśli ktoś dużo mówi o tym, jak wszyscy go lubią, to prawdopodobnie wcale tak nie jest. Opowieści o tym, jak ktoś moją babcię szanuje, jak się z kimś zaprzyjaźniła, bo docenili jej klasę, styl i co tam jeszcze, w którymś momencie stały się po prostu smutne.

Najbardziej jednak nie znoszę gadania o chujowości moich rodziców. Babcia Hania i ojciec nienawidzą się z wzajemnością od zawsze. Odwiedziny u babci wiązały się nieodmiennie z wysłuchiwaniami historii o tym, jak ojciec bił mojego brata, kiedy ten był mały. O tym, jak razem z mamą zamówili spawanie barierki w domu, gdzie razem kiedyś mieszkaliśmy. Według mojej babci fachowcy przyszli spawać barierki, kiedy ona była w domu i nikt jej nie uprzedził, więc prawie się udusiła. Takich historii ma dziesiątki.

W żadnej z nich nie ma ani słowa o tym, że babcia gardzi ludźmi. Jej plany kompletnie nie uwzględniają interesów innych. Co gorsza, wymyśla nie tylko, co chce zrobić, ale ustala od razu przebieg całej operacji w punktach. I niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli się w jej plan nie wpasujesz. Kiedyś, gdy na kilka lat wyprowadziła się na wieś, gdzie mieszkała w barakowozie z dobudowaną kibłokuchnią, pojechałem pomalować ścianę w jej domku. Stała nade mną przez cały czas i gdybym wcześniej się nie naćpał, prawdopodobnie zwyczajnie bym jej przyjechał.

Chciałbym powiedzieć, że obcowanie z nią przygotowało mnie na to, co przechodzi każdy rodzic, kiedy dwulatka życzy sobie sama zapalić światło albo trzylatek chce, żeby inaczej zdjąć mu buty. Niestety, znoszenie latami pouczeń, słuchanie, jak wylewa na moich rodziców kolejne wiadra pomyj, dowiadywanie się, jakie to wspaniałe sukcesy odnoszą rodziny ludzi, o których nie mam pojęcia i chuj mnie obchodzi, ale z jakiegoś powodu babcia musi mi o nich opowiedzieć, po prostu mnie osłabiło. Moje wybuchy złości mają na pewno głębsze podłoże, ale jestem pewien, że babcia nie poprawiła sytuacji.

Tymczasem siedzimy sobie w lany poniedziałek w mieszkaniu na warszawskiej Starówce. Lubię widok na spokojne podwórko, kawałek obronnych murów, czerwone dachy sąsiednich budynków i wyglądające zza nich niebieskie wieżowce. Mieszkanie jest dość przestronne i wysokie. Meble pozwalają domyślić się, że moja mama jest osobą praktyczną: estetyka musi ustąpić miejsca funkcjonalności. Wielka sosnowa szafa ma się nijak do starego kredensu i dwóch zabytkowych szafek, które z kolei niespecjalnie dogadują się z sosnową witryną. Pomalowana na pomarańczowo wisząca szafka z suwanymi, przeszklonymi drzwiami nie lubi się z niczym. Mamine przekonanie, że trzeba oszczędzać, doprowadziło do spotkania tych przedmiotów, które niegdyś królowały w oddzielnych pokojach. Kredens stał dawniej w jadalni, w domu, gdzie mieszkaliśmy wspólnie z babcią. Pomarańczowa szafka wisiała w pokoju moim i brata w mieszkaniu na Pięknej. I tak dalej. Mimo wszystko to przyjemne mieszkanie.

Kończę jeść zupę.

Wcześniej pojechałem po babcię, bo koniecznie chciała porozmawiać ze mną o sprawie „nie na telefon”. Odkąd pamiętam, miała do omówienia mnóstwo takich spraw, zawsze „nie na telefon”. Według babci powinny mnie te wszystkie rzeczy interesować, ja jednak zazwyczaj miałem je w dupie. A właściwie gorzej: większość tych „spraw”, które babcia chciała omawiać, drażniła mnie albo przygnębiała. Jej pomysły zazwyczaj były, w oczywisty dla mnie sposób, skazane na porażkę. Wymyśliła na przykład, żeby niewielka w sumie działka – ta, na której mieszkała przez kilka lat w przerobionym barakowozie – służyła jako coś w rodzaju kempingu. Pamiętam, jaka była dumna,

że kazała elektrykowi zrobić kabel do siły. Jeździmy czasem na tę działkę z dziećmi. Ja nadal niezbyt chętnie, bo zawsze robi mi się trochę przykro, kiedy tam jesteśmy. I kiedy niechcący zdradzę się przed babcią albo mamą, że się tam wybieram, z całą pewnością usłyszę, że pod domkiem – barakowóz, kiblokuchnia i przedsionek są przykryte dachem i obłożone sidingiem – leży kabel do siły. Tak jakby ten kabel był najcenniejszym rodzinnym skarbem, o którym nie wolno mi zapomnieć. Może zresztą jest.

Tym razem sprawa „nie na telefon”, o której koniecznie musieliśmy porozmawiać, nie była smutna. Odkąd babcia oswaja się ze śmiercią, przestała robić te swoje plany. To dla mnie wielka ulga: nie odczuwać rozczarowania i zastępczego wstydu za nią. Wstydę się teraz za siebie: że nadal unikam pomagania jej. Bo – trochę wbrew sobie – uważam, że pomoc jej się należy. A ja często przekładałam wizyty, wymiguję się od wożenia jej do urzędu czy lekarza. Chociaż bardzo rzadko mnie o to prosi. Przynajmniej zacząłem regularnie oddzwaniać. Ale w ten lany poniedziałek, chociaż jak zwykle byłem zirytowany, że muszę do niej jechać, nie wymigiwałem się od tego. Wiedziałem, że tak czy inaczej będę musiał się dowiedzieć, co to za sprawa, i chciałem mieć to z głowy. Była to właściwa decyzja.

Babcia zdecydowała się uczynić ze mnie powiernika i pokazała mi swoją skrytkę z zaskórniakami oraz dokumentami. Okna jej mieszkania na parterze przedwojennej praskiej kamieniczki wychodzą na trawnik z tyłu, gdzie sąsiedzi zbili piaskownicę, a dalej postawili grilla. Było jeszcze trochę za zimno, więc ogródek świecił pustkami. Mimo to babcia zasłoniła połowę okna. Zajęło to wieczność, ponieważ, żeby dojść do

okna z właściwej strony, musiała odsunąć chodzik i przełożyć jakieś pakuneczki, którymi wypełnione jest jej mieszkanie. Zrobiłbym to dużo szybciej, ale widocznie babcia uznała, że nie można ryzykować, powierzając tak odpowiedzialne zadanie komuś innemu. Kiedy zapanował półmrok, delikatnie, wręcz z czułością odchyliła, nie bez wysiłku, wielką donicę z gruboszem. Dorodne drzewko szczęścia rośło w podwójnej doniczce i między zewnętrznym a wewnętrznym naczyniem mieściła się dyskretna skrytka.

Po raz kolejny zacząłem myśleć o czymś, na co zwróciła mi uwagę żona: babcia Hania, tak beznadziejna w kontakcie z ludźmi, ma niemal mistyczny kontakt z roślinami i zwierzętami. Drzewko szczęścia na jej parapecie było tego dobrym przykładem. Nigdy nigdzie nie widziałem wspanialszego okazu. Babcia regularnie podlewała tego mocarza muszynianką, tłumacząc, że to woda mająca najlepszy dla tego gatunku skład minerałów. Pod jej ręką, trzeba to przyznać, kwiaty i krzewy na działce miały się znakomicie. Przydomowy ogródek trudno było nazwać pięknym – centralny punkt skalniaka stanowił stary sedes, a od kiedy pierwszy raz zobaczyłem końcówkę wielkiej rury, która miała być głównym kwietnikiem, czekam aż nagle na naszą działkę wyskoczy Super Mario. Ale same rośliny były zdrowe i dorodne. Chociaż kolejny z planów mojej babci: plantacja borówek amerykańskich złożona z pięciu krzaczków na krzyż nie miał żadnego biznesowego sensu, to krzewy rodziły dorodne i pyszne owoce.

Kiedy babcia opowiada o ptakach albo wiewiórkach, widocznie się zmienia. Rozluźnia się i mówi spokojnie, ale bardzo zdecydowanie. Te historyjki są pełne szczegółów: widać,

że przygląda się zwierzętom z wielką uwagą. Czasem myślę, że gdyby zamiast te sześćdziesiąt lat temu trafić do cechu rzemiosł metalowych, znalazła pracę w zoo albo u jakiegoś weterynarza, pewnie byłaby szczęśliwsza. Może nie musiałaby sobie tworzyć tego pancerza, który oddziela ją od przykrej prawdy jej życia. Mogłaby praktykować czułość wobec jakiegoś tygrysa albo ciekawej ryjówki. Znajdowałaby ukojenie w opiece nad wysterylizowanymi suczkami albo jakimś kulawym bocianem.

Wiem, że pasji by jej nie zabrakło. Wrażliwością na krzywdę drzew mojej babci może dorównać chyba tylko mały piesek Idefiks. Kto nie wie, o czym mówię, niech sięgnie po tom przygód Asteriksa pod tytułem *Osiedle Bogów*. Nie tak dawno babcia zadzwoniła do mnie wzburzona, żądając, żebym znalazł numer do telewizji. Niemal krzyczała, że musi interweniować. Zobaczyła na tefalanie, jak *artysta* Organek – słowo artysta w jej ustach brzmiało jak najgorsza obelga – przewodzi akcji sadzenia drzew. Z jej wściekłego monologu zrozumiałem w końcu, o co chodziło: jej zdaniem drzewa pokazane w telewizji były w małych donicach i groziła im śmierć. Babcia żądała, żebym koniecznie zdobył jej kontakt do telewizji. Sprawdziłem na stronie i wysłałem jej numer SMS-em (obie moje babcie dość sprawnie obsługują komórki). Jestem pewien, że dzwoniła, chociaż strategicznie nigdy o to nie spytałem.

Przyjechałem z babcią do mamy taksówką prawie godzinę później, niż planowałem. Staruszki zbierają się do wyjścia jeszcze wolniej niż dzieci, chociaż proces jest podobny: zmiany decyzji, zawiechy w środku prostych czynności, problemy z koordynacją. W rezultacie jadłem zupę sam. Mój brat, mama, żona i dzieci zjedli wcześniej. Babcia nie chciała.

Odsuwam talerz i zaczynam się zastanawiać, czy nie powinienem wykorzystać rzekomego pokrewieństwa z naszą największą gwiazdą futbolu. Wyobrażam sobie, że wsiadam w autokar, żeby było taniej. Jadę do Barcelony. Czekam na Roberta – już o nim myślę po imieniu, skoro to rodzina – aż wyjdzie z treningu. Albo czatuję pod szkołą jego dzieci. Powstrzymywany przez ochroniarza – zakładam, że chodzi z ochroną, ja w każdym razie na miejscu wszystkich sponsorów i reklamodawców chroniłbym swoją inwestycję i dał mu ochronę – krzyczę do niego: „Kuzynie! Kuzynie, mamy wspólnych praprapradziadków!”. Robert przystaje zaintrygowany. Kiwa na mnie. Opowiadam mu pokrótce rodzinną historię. I tak kończą się wszystkie moje problemy z pracą. Odtąd krążę po orbicie naszej największej gwiazdy. Moje życie jest spokojne. Wakacje – drogie i egzotyczne. Kupuję sobie porsche (stare i tanie, ale jest to drugi samochód). Szybko strząsam z siebie tę fantazję. Mam już zupełnie inny plan, chociaż chwilowo staram się nie myśleć o piwnicy.

Polskie piwnice są zawsze dziwne. I w sumie nie wiem, czy bardziej niepokojące są te, w których panuje porządek, czy te graciarnie, gdzie na swoją kolej czekają wszystkie „przydasie”, stare szafki, dywany, niedopasowane prysznicze. W piwnicach praktycznie zawsze są słoiki. Podobnie jak psy i koty – zwierzęta, które udomowiły sobie człowieka i prosperują pod jego opieką od tysięcy lat – słoiki znajdują sposób, żeby w nieskończoność się mnożyć i znajdować ciepło w ludzkich sadybach. Może przez chwilę wydawało się, że populacja słoików się zmniejszy: niby społeczeństwo się bogaciło, wszędzie powstawały nowe knajpy. Ale słoiki przetrwały.

U mojej mamy w piwnicy też oczywiście są. To jedna z tych porządných piwnic z lat pięćdziesiątych z obowiązkowym schronem. Do wzmocnionego podziemnego pomieszczenia wchodzi się, mijając ciężkie pancerne drzwi wstawione z myślą o przetrwaniu natowskiego ataku. Jednak dzisiaj, patrząc na te drzwi, wszyscy nieuchronnie obawiają się bombardowania z zupełnie innej strony.

Oprócz słoików jest tam strasznie dużo desek, które, według mojej mamy, kiedyś mogą się przydać. Stary stół w stylu góralskim, jakieś świeczniki gotowe zaatakować każdego śmiałka, który zechce wkroczyć do tego pomieszczenia. No i pudła z książkami, głównie starymi słownikami, z których zbędnością trudno się pogodzić oraz seria BKD – Bitwy, Kampanie, Dowódcy. I w tej piwnicy wiecznie muszę coś przewalać, bo w końcu mama przychodzi do dzieci, położy je spać, więc głupio powiedzieć, co myślę. Że stare szafki z kuchni nigdy się nie przydadzą i fajnie by było, żeby wyrzucili je goście od montażu. No ale wiadomo: rodzinne zaletności.

Z kolei nasza piwnica w bloku z wczesnych lat dziewięćdziesiątych to w zasadzie komórka. Mieści się nad ziemią, a w dzień słońce wpada do niej przez wysoko umieszczone okienko. W ostatnich tygodniach bardzo to doceniam. Pomieszczenie ma niecałe trzy metry wysokości i wymiary dwa na dwa i pół metra. Niewiele, ale wystarczyło, żeby pomieścić wszystkie graty, które żal nam było wyrzucić podczas remontu dekadę temu. Teraz stoi tam tylko niewielki stół, dwa wąskie regały i krzesło. Do tej malutkiej pracowni wędrują moje myśli, kiedy mama wnosi do pokoju półmisek.

– Tutaj jest dobre mięsko, sałatka, a to ziemniaczki, tylko w innej formie. Kupne nuggetsy, nakładajcie sobie, a ja przyniosę szpinak – mówi.

Szpinak wygląda dokładnie tak, jak się spodziewałem. Od dawna można kupić bez żadnego problemu całe liście szpinaku w dowolnej ilości i przyrządzać je na tysiąc sposobów. Moim dzieciom zdarza się nawet jeść je na surowo. Niestety mama najwyraźniej sekretnie czci Popeye’a i z uporem maniaka podaje zawsze zmieloną, zieloną paciaję. Twór kogoś, kto zwyczajnie nienawidzi roślin. Nie jest to może obrzydliwe, ale smaczne też niespecjalnie. Jestem pewien, że kupiła szpinak z mrożonki.

To bowiem jest prawdziwa pasja mojej mamy: mrożenie. Jej zdaniem można zamrozić wszystko. Kiedyś przyniosła do nas kalafiora z zamrażarki. Jeśli sądzicie, że ugotowany kalafior nie nadaje się do mrożenia, to macie absolutną rację. Przynajmniej jeśli ktoś planuje go po odmrożeniu zjeść. Mamie to nie przeszkadza. Czasem mam wrażenie, że traktuje jedzenie jak jakąś kosmitka, dla której smak jest abstrakcją. Uważa go za luksus. Coś, co może, ale w żadnym wypadku nie musi wystąpić w jedzeniu. Najważniejsze, żeby nigdy niczego nie wyrzucać. Zawsze można spróbować zamrozić.

Mama jest pod tym względem radykalną ekolożką. Swoim poświęceniem na rzecz *zero waste* mogłaby zawstydzić niejednego punka czy brudaskę w wyciągniętym swetrze. Niestraszne są jej kilkudniowe kasze, podeschnięte kanapki. Jeżeli ktoś ma uchronić podejrzaną zawartość zapomnianych lodówkowych pudełek przed śmietnikiem, to tylko ona. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że jak każdy asceta, żąda od wszystkich,

żeby kierowali się tymi samymi obsesjami, które ją napędzają. A ponieważ są to obsesje, nie uznają alternatyw.

Nie lubię wyrzucać jedzenia. Kto lubi? Staram się gotować nie za dużo, dojadam po dzieciach jak każdy. Ale nie mam problemu z wywaleniem raz na jakiś czas zapomnianej kanapki. Nie zliczę, ile razy usłyszałem, że w zasadzie to mógłbym zamrozić. Dziwne, że jeszcze mam język, tyle razy musiałem się w niego gryźć, żeby nie powiedzieć, co myślę o mrożeniu jednej pierdolonej kanapki.

A przecież ona umie gotować. Jej ciasta są wybitne, podobnie jak placki z jabłkami. Robi pyszne schabowe, wspaniałe zrazy – to jest czasochłonne, więc nie dziwię się, że przestała, zresztą nie jem mięsa. Ma w swoim repertuarze kilka pewniaków, ale z jakiegoś powodu wizyta gości – zawsze tak było – wywołuje w niej potrzebę przeobrażenia się w zupełnie inną osobę. Zupełnie klasyczny komediowy motyw. Zamiast prostego pieczonego schabu ze śliwką, kupna posypka do suchego kurczaka. Zamiast zwykłej kaszy albo ziemniaków jakieś „specjalne” krokietki. To musi być jakaś potężna siła. Tylko siła czego? Podświadomego wstydu? Wstydu, który nie pozwala jej wykorzystać mocnych stron. Pcha ją w ryzykowne eksperymenty, które rzadko się udają. A może to tylko inny wyraz jej dziwaczego podejścia do jedzenia. Może mama w głębi duszy uważa po prostu, że cała ta otoczką: nowości, eksperymentu, jej poszukiwań i starań to właśnie sens jedzenia. Na nieszczęście zadziwiającą dużo jej gości jest na tyle prostackich, żeby oczekiwać smaku.

Rzeczy, które ją irytują: nasz robot-odkurzacz. Nasz elektryczny czajnik. Nasz prysznic. Prysznic zaczął trochę przeciekać, ale ma idealne ciśnienie, a poza tym wiem, że po wymianie bę-

dzie gorzej. Teoretycznie wystarczy dokupić dowolną słuchawkę z wężem z marketu i wszystko powinno do siebie pasować, ale tak naprawdę okaże się, że wąż, chociaż dokręcony do końca, puszcza wodę bokiem, że nowa słuchawka jest z tych „oszczędnych” i ledwo ciurka, jak pięćdziesięciolatek z przerośniętą prostatą.

Tymczasem nasz prysznic trochę przecieka i tyle. To ewidentnie nie daje mojej mamie spać. Wielokrotnie już sprostowało to jej pytania. „Czy nie zależy wam na planecie?” Każdy z nas mógłby napuszczać sobie codziennie dwie wanny, a w ogólnym zużyciu wody w kraju niewiele by to zmieniło. Większość wykorzystuje rolnictwo i przemysł. Wiadomo jednak, że osobista odpowiedzialność za środowisko to główny powód zmartwień zwykłego człowieka.

Mimo wszystko takie argumenty stanowiły główną linię jej nowej taktyki, która pojawiła się, gdy odwoływanie się do „marnowanych pieniędzy” nie przyniosło rezultatu. Próbowałem tłumaczyć, że koszt tej odrobiny wody jest wielokrotnie niższy niż koszt mojego czasu poświęconego na zajmowanie się prysznicem plus koszt mojego stresu i paliwa, które spalę, jeżdżąc do marketu budowlanego – oszacowałem tę operację na co najmniej trzy kursy, z powodu wspomnianych problemów z dopasowaniem, ciśnieniem albo klasycznej zabawy z odkręceniem czegoś, co kategorycznie odmawia bycia odkręconym.

Stąd atak na froncie ekologicznym. Nieskuteczny, bo moja podatność na próby wywołania poczucia winy za indywidualne zachowania konsumpcyjne jest obecnie zerowa. Czy martwi mnie, że planeta umiera? Oczywiście. Czy uważam, że powinniśmy podjąć już teraz radykalne kroki? Jasne. Dlatego głosuję za odejściem od kopalin, od dekady większość podróży odbywam

rowerem albo transportem publicznym. Czy uważam, że jednostkowe zachowania nie mają znaczenia? Nie, dlatego nie jem mięsa. Ale wiem, że to jedynie etyczna manifestacja. Atak z nożem na ufortyfikowane gniazdo karabinu maszynowego. W trakcie pandemii linie lotnicze wykonywały setki lotów, żeby utrzymać swoje dobre przydziały miejsc na lotniskach. Nie wiem, jak religijnie musiałbym segregować śmieci albo ile czasu powstrzymać się od jakiejkolwiek konsumpcji, żeby zrównoważyć ślad węglowy tej operacji. Obawiam się, że nawet gdybym poświęcił życie na wydobywanie z odpadów zmieszanych w całej dzielnicy każdego papierka i plastikowej butelki i wyrzucanie z pojemnika na papier każdej chusteczki i zatłuszczonego jednorazowego ręcznika, bilans i tak raczej by się nie wyrównał.

Zresztą nawet uznany za najbardziej zabójczy organizm w historii świata Thomas Midgley Jr. odpowiedzialny za zatrucie planety ołowiem i dziurę ozonową, nie przeszedłby do historii jako największy szkodnik, gdyby nie potrzeby korporacji. Midgley stworzył mające świetne właściwości chlorofluorowęglowodory. Uwielbiam nazwy związków chemicznych, które od razu zdradzają, z czym mamy do czynienia. Działy marketingu mają jednak swoje zdanie, więc dzisiaj wszyscy znamy freony. Freony wydawały się genialnym środkiem, którego używano między innymi do chłodzenia. Nie wchodziły w żadne reakcje ze składnikami atmosfery ani z budulcem naszych ciał. Problem w tym, że pod wpływem promieniowania UV rozpadają się, tworząc dziurę ozonową. Sytuacja zrobiła się tak tragiczna, że ludzkość zadziałała. Instynkt samozachowawczy przeważał i zakazaliśmy freonów. Na szczęście firmy miały pod ręką alternatywne technologie i nie protestowały tak mocno, jak lobby

motoryzacyjne. Ten tryumf nazywa się protokołem montreal-skim. Nie kpię, naprawdę jestem pod wrażeniem. Można czasem usłyszeć, że skoro poradziliśmy sobie z dziurą ozonową, to z globalnymi zmianami klimatu też damy radę. Ale wiecie co? Globalne ocieplenie odbiera smak naszemu zwycięstwu nad freonami. Naukowcy uważali, że w roku 2000 dziura ozonowa osiągnęła swoje maksymalne rozmiary. Niestety było zbyt ciepło i wir okołobiegunowy nie miał takiego zasięgu jak zwykle i dziura ozonowa znacznie się powiększyła. Łatwo to sprawdzić.

Ale wróćmy do Midgleya. Zanim jego wynalazek namieszał w atmosferze nad naszymi głowami, rozwiązał dla motoryzacji ważny problem: jak stworzyć stabilną, ale odpowiednio wybuchową benzynę. Problem polegał na tym, że silniki potrzebują mocy: silnego wybuchu. Ale jednocześnie nie chcemy, żeby wszystko wybuchało cały czas. Ma wybuchać wtedy, kiedy chcemy i tak, jak chcemy. Okazało się, że świetnie zadziałał ołów. Gdyby ten pierwiastek nie powodował u ludzi i zwierząt szaleństwa, może nie byłby to taki problem. Ale nasi dziadkowie i rodzice mają go w ciele tysiąc razy więcej niż ich pradziadkowie. Wszystko to wiemy od kilku dekad, ale ostatni kraj zakazał używania benzyny ołowiowej dopiero parę lat temu. A podobno przemysłowo używa się jej dalej, więc wybaczone mój sceptycyzm, co do skuteczności indywidualnej ascezy. Zresztą w kapitalizmie nie ma etycznej konsumpcji, więc nie ma się czym podniecać.

Wobec czego kupiliśmy sobie odkurzacz – robota sprzątającego. Chińskiego i taniego. Poprawił jakość naszego życia jak mało co. Jeżeli ktoś nie ma dzieci, naprawdę nie potrafi sobie wyobrazić ilości okruszków wszystkiego, które są zawsze wszędzie. Bez naszego automatycznego przyjaciela nawet w dzień po

gruntownym sprzątaniu podłoga przypominała coś w rodzaju okruszkowej plaży. A jednak mama nie może przeżyć, że kiedy wpuściłem go do pokoju, gdzie dzieci rozsypały płatki, po kilku minutach wciąż jeszcze nie dotarł do tego miejsca. Rzecz w tym, że robot jeździ według sobie znanego planu, aż w końcu sprzątnie wszędzie. Mama uważa, że to marnotrawstwo, no bo przecież takim tradycyjnym odkurzaczem, to by się zrobiło raz dwa. Dla mnie kluczowe jest to, że nie muszę się tym zajmować, więc może sobie jeździć i dwadzieścia minut. Mama uważa tego typu uwagi za obraźliwe.

Wydaje mi się przy tym, że ona się stara być taktowna i cywilizowana, ale siła oburzenia przerasta jej siły. Szczególnie drażliwym punktem było odpieluchowanie dzieci, zwłaszcza starszego. Podchodziliśmy do tego na luzie, zakładając, że jak przyjdzie moment, to zacznie robić na nocnik i już. Oczywiście zachęcaliśmy go, ale bez większego ciśnienia.

Mama widziała to inaczej. Najpierw wydawało się, że sytuacja nie jest zbyt groźna. Mając doświadczenia z wielorazowymi obsranymi pieluchami, które trzeba było na okrągło prać i gotować, też pewnie chciałbym oszczędzić innym tej męki. Wobec tego historie o tym, jakoby zaczął robić na nocnik już w wieku jednego roku, nie wzbudziły alarmu. Ale kiedy na naszym stole wylądowało wydrukowane z Internetu bite dwadzieścia kartek z artykułem o tym, jak szybko i sprawnie przyzwycząić nawet kilkumiesięczne dziecko do nocnika, wiedzieliśmy, że robi się niebezpiecznie. Coś wisiało w powietrzu, jak to mówią. W końcu pojawiły się uwagi rzucane niby to mimochodem i napomknienia o różnych dzieciach, które ponoć odpieluchowały się według maminego wzorca. Wreszcie sytu-

acja stała się nieznosna. Ukoronowaniem tego wszystkiego była nieunikniona awantura, gdy mama ze łzami w oczach zarzuciła mnie i mojej żonie, że „bawimy się dzieckiem”. Szczęśliwie Henio miał to w dupie i po skończeniu dwóch lat, po tym, gdy całe lato ganiał na plaży z gołym tyłkiem, po prostu przestał nosić pieluchy i to zakończyło temat.

Te obsesje są oczywiście śmieszne. Najsmutniejsze rzeczy zazwyczaj takie są. Najgorsze jest to, co za nimi stoi. Tyle lęku, ogrom strachu, który wypełnia całe wnętrze i wypycha się w każdą najmniejszą szczelinę. Ciągłe szukanie, co się zawali, co pójdzie nie tak. To jest siła, której nie da się okiełznać. Nie da się jej opanować bez pomocy. Więc, myślę sobie, moja mama nieświadomie szuka sposobów na oswojenie się z nadchodzącą porażką. W rezultacie bardzo się staram, żeby nie zdradzać się z jakimikolwiek obawami. Ile razy się zapomnę, te zostają spotęgowane, spotwornione. A potem odbite z powrotem, bo nie są już moje, są jej. Jak ostatnio, kiedy opuściwszy gardę, wyznałem, że martwię się, ile zajmie mi szukanie nowej pracy. W samej rozmowie nawet się starała, co bardzo doceniam. Ale dwie godziny później wysłała mi link do rozmowy ze znanym ekonomistą pod tytułem: *Nadciągą gigantyczne załamanie gospodarki*. Jak możecie zgadnąć, nie poczułem się z tym za dobrze.

Innym razem Henio zmieniał grupę w przedszkolu i z żoną nieopatrznie zdradziliśmy się z obawami, że może mu być trudno znaleźć nowych przyjaciół. Dowiedzieliśmy się wtedy od mamy, że czasem zdarza się tak, że dziecko już nigdy nie znajduje nowych przyjaciół. A lęki niestety są zaraźliwe.

Musiałem mieć z jedenaście czy dwanaście lat. W przeciwieństwie do większości innych przedmiotów uczenie się

matematyki nie przychodziło mi z łatwością. Pamiętam, że w podstawówce wielokrotnie czułem się oszukany, kiedy najpierw tłukliśmy tygodniami jeden rodzaj zadań, żeby potem dowiedzieć się o istnieniu sposobu, który pozwalał rozwiązać problemy wielokrotnie szybciej. W liceum miałem to już centralnie w dupie. Dopiero na studiach odkryłem, że to kwestia sposobu przekazywania wiedzy, skoro po pierwszym szoku udało mi się opanować statystykę. W każdym razie w dzieciństwie matematyka była nieprzyjemna. Rodzice, oboje po studiach ekonomicznych, postanowili mi pomóc. Może i rozumieli całki, za to średnio cierpliwość i empatię. Ale właśnie wtedy, gdy miałem te jedenaście czy dwanaście lat, poczułem się pewniej w matematyce. Zapisalem się na konkurs matematyczny, który z niezrozumiałych dla mnie względów nazwano Kangurkiem. Tym Kangurkiem chyba planowałem coś sobie udowodnić, chociaż pewnie bardziej chciałem to „coś” udowodnić rodzicom. Przeszedłem do drugiego etapu. Nie pamiętam żadnych reakcji na to wydarzenie: ani swojej, ani nikogo z rodziny. Do drugiego etapu podeszedłem, czując, że mam szansę. Kiedy otworzyłem kopertę, zadania mnie nie przeraziły. Skończyłem w przekonaniu, że poszło mi całkiem dobrze. Niestety okazało się, że Kangurek nie był dla mnie łaskawy. Przeżyłem przez niego wielki zawód. Kilka razy nawet się popłakałem. Kiedy poznałem wyniki i mama wróciła do domu, zebrałem się w sobie i, starając się nie rozkleić, przekazałem jej, że odpadłem z Kangurka. Odpowiedziała: „I tak wiedziałam, że ci się nie uda”. Jebany Kangurek.

Oczywiście zdarza jej się powiedzieć coś, co nie jest kompletnie dołujące, niestosowne albo przykre. Ale oczekiwanie od mamy pocieszenia jest jak spodziewanie się, że kiedy wyj-

dziesz z domu, na osiedlowym skwerku będzie się akurat paść stado owiec. Więc dlaczego właściwie dzielę się z nią swoimi obawami i problemami? A z kim mam się dzielić? Wylewanie wszystkiego na żonę wydaje mi się nie w porządku. Poza tym mimo wszystko jest mi lżej, kiedy ona wie, co się dzieje. Nie muszę wymyślać kłamstw, dlaczego jestem wkurwiony. Wiadomo dlaczego.